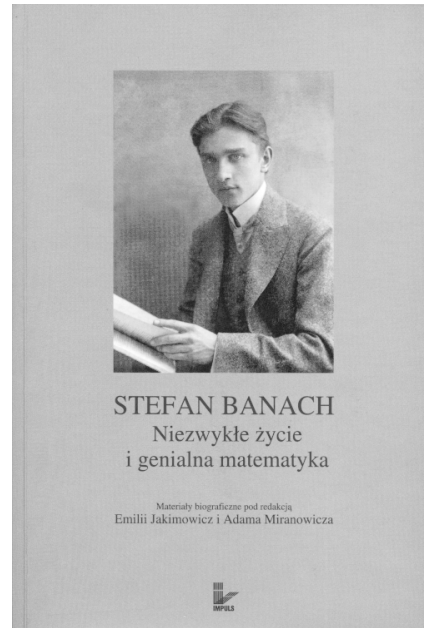


Wbrew wszelkim przeciwnościom

Stefan Banach był bez wątpienia najwybitniejszym polskim matematykiem i jest jedynym, którego nazwisko jest znane każdemu studentowi matematyki na całym świecie. Żył on nie tak dawno – (1892–1945), a więc już w czasach, gdy powszechna była umiejętność pisania i rozpowszechniło się wścibstwo mediów w biografii wybitnych osób. Był poza tym osobą za życia znaną i cenioną. W takich wypadkach za pióro łapią wszyscy, którzy z wielką osobistością mieli choćby przelotny kontakt i uwieczniają swoje relacje dla dobra potomnych lub dla własnego snobizmu (ot, żeby pogrzać się przez chwilę w promieniach cudzej chwały). A jednak w przypadku Banacha jest inaczej i o niektórych fragmentach jego życia krążyły legendy, a inne spowija całkowite milczenie. Książka, którą polecam każdemu miłośnikowi historii matematyki, rozwiewa niektóre nieporozumienia, choć – jako dzieło skrupulatnych badaczy – nie przebija muru milczenia.

Recenzowane dzieło¹ napisane zostało przez parę autorów, którzy dobrali się idealnie do wykonania tej pracy. Pierwsza z nich jest arcykompetentnym bibliotekarzem i przeprowadziła staranną kwerendę w dostępnych źródłach (nie tylko w już publikowanych książkach i artykułach, ale i w archiwach), drugi – matematyk



dodał do tego kompetencję potrzebną w omawianiu materii, którą Banach zajmował się profesjonalnie. Punktem wyjścia była zorganizowana przez Bibliotekę Matematyczno-Fizyczną Uniwersytetu Gdańskiego wystawa z okazji 60-lecia śmierci Banacha (2005), której zbiory umieszczone na wortalu <http://banach.univ.gda> stały się podstawą dalszej dyskusji i kolejnych uzupełnień. Autorem dzieła udało się w ten sposób dotrzeć do chyba wszystkich opublikowanych relacji i uzyskać nowe, w tym od świadków (m.in. z rodziny wielkiego matematyka), których świadectwa rzuciły światło na szczególnie zamazane w różnych dostępnych biografiiach pierwsze lata życia geniusza. Lista podziękowań zamieszczona w Słowie wstępnym jest

¹ Stefan Banach. Niezwykłe życie i genialna matematyka, Materiały biograficzne pod redakcją Emilii Jakimowicz i Adama Miranowicza (Gdańsk 2009, Uniwersytet Gdański), s. 202. Liczne kopie dokumentów, fotografie.

zaiste imponująca i chyba trudno sobie wyobrazić, by po tej benedyktyńskiej robocie coś jeszcze dało się do biografii Banacha dorzucić.

Pierwszy człon tytułu mówi o niezwykłym życiu. Trzeba powiedzieć, że było to życie rzeczywiście niezwykle, choć nie dotyczyło osoby o awanturczym usposobieniu. Część niezwykłości nie jest udziałem tylko tego życiorysu, a dotyczy całego pokolenia (czy nawet dwóch pokoleń) osób żyjących w I połowie XX wieku z jego wszystkimi perturbacjami (dwie wojny światowe, odzyskanie przez Polskę niepodległości i jej ponowna utrata, okupacje i wyzwolenia...). Nawet najbardziej banalne życiorysy umieszczone w takim kontekście stają się niezwykłe (jakiż to wyczyn uchronić swoją zwyczajność w tak trudnych warunkach!). Jednakże los Banacha nie był zwyczajny i z innych powodów. W jego życiorysie jest jedno wielkie „pomimo”: stał się on geniuszem i wielkim matematykiem pomimo pewnych istotnych okoliczności, które mogły z łatwością przekreślić jego dalszą karierę. Jedną z nich okazała się choroba, która przerwała jego życie stosunkowo wcześnie. Ale wcześniej los mu sprzyjał.

Pierwsze „pomimo” dotyczy samego urodzenia. Tak więc, był nieślubnym dzieckiem prostej, pochodzącej ze wsi służącej i zawodowego podoficera (związek małżeński wykluczała zależność służbowa ojca). Co więcej, został właściwie porzucony przez matkę (której nigdy nie poznał), a jego wychowaniem zajęła się obca osoba. Łatwo sobie wyobrazić, jak mógł się potoczyć jego dalszy los. Tymczasem przybrana matka, właścicielka pralni

(a nie praczka, jak często pisano) otoczyła Stefana serdeczną opieką (w czym finansowo pomagał ojciec, też wbrew niektórym wcześniej przytaczanych opiniom). Dzięki opiekunce, Stefan wprowadzony był na salony ówczesnego Krakowa – jako dziecko otarł się o najwybitniejszych przedstawicieli ówczesnej kultury (nie zaś żył na marginesie społeczeństwa, co też zdarzało mi się o nim czytać). Maturę zdał w liceum krakowskim, z którego zresztą opisujący jego czasy licealne koledzy zwiiali do innych szkół (znowu więc jakieś „pomimo”) i w tym okresie interesował się matematyką, dyskutując o niej z kolegami (czy i na ile pomagał mu w tym nauczyciel – nie wiadomo).

Kolejny okres, to wiele zagadek. Wiadomo, że rozpoczął studia na UJ, ale nie wiem jakie (tak dobrze udokumentowana książka o tym milczy), a potem przeniósł się do Lwowa (dlaczego?) i studiował na Politechnice (co? Jak? Z czego się utrzymywał?). Studia przerwało zajęcie Lwowa przez Rosjan w 1914 roku i właściwie w tym momencie skończyła się formalna edukacja Banacha. Jednak pomimo to kształcił się dalej – całkowicie samodzielnie (choć w bliskim kontakcie z innymi podobnymi do siebie – kolegą szkolnym Witoldem Wilkoszem i młodym nauczycielem matematyki Ottonem Nikodymem. Nie sądzę, żeby Banach wszystko wówczas odkrywał samodzielnie (jak twierdzi jedna z legend). Miał za sobą dobry kurs licealny (czy, jak wówczas mówiono – gimnazjalny), a zachowane dokumenty świadczą, jak wymagający był egzamin maturalny. Miał też podstawowy kurs matematyki wyższej na politechnice.



I miał coś jeszcze – doskonałą znajomość języka francuskiego (dzięki przyjacielowi opiekunki, krakowskiemu fotografowi, Francuzowi o nazwisku Mien). Znał też, jak wszyscy rozgarnięci i wykształceni obywatele Austro-Węgier, język niemiecki. Mógł więc korzystać z dostępnej w akademickim Krakowie literatury. I pewnie skorzystał, skoro Hugona Steinhausa, wybitnego już matematyka, zaciekaWiła zasłyszana na krakowskich Plantach (1916 rok) rozmowa dwóch młodych ludzi (Banach i Nikodym) o rzeczy tak nowej, jak cała Lebesgue’a.

Tak więc pomimo przerwy w studiach i wojny, Banach pogłębiał znajomość matematyki, a od poznania Steinhausa zaczął ją twórczo uprawiać. W 1919 roku opublikowali pierwszą wspólną pracę. Steinhaus załatwił też Banachowi posadę asystenta na lwowskim Uniwersytecie Jana Kazimierza (pomimo, że ten nie miał ukończonych studiów – żadnych, nie tylko matematycznych!) i dalsze szczeble błyskawicznej kariery (pomimo formalnych przeszkód, które dziś byłyby nie do pokonania).

I pewnie to jest najniezwyklejsze w tym życiorysie. Myślę, że dziś byłby on po prostu nie do pomyślenia. Czy poczęty w takich okolicznościach Stefan Banach w ogóle by się urodził? Czy znalazłby czułą opiekunkę (zamiast państwowej opieki w domu dziecka), czy udałoby mu się otrzeć o elity kulturalne (chyba już nie ma czegoś takiego, przynajmniej jako zjawiska społecznego)? Czy jeszcze młodzi ludzie dyskutują na Plantach, po których przechadzają się profesorowie (chyba w dobie Internetu takie spotkanie staje się jeszcze mniej prawdopodobne niż było wówczas)? Czy bez formalnych dokumentów ktokolwiek przyjąłby go do pracy? Czy poznano by się na jego geniuszu, a jeśli tak, to czy przypadkiem nie usiłowano by go zniszczyć

(ludzie zdolniejsi są groźni dla miernot)? Na te pytania odpowiedź moja brzmi „Chyba nie”. A już na pewno nie otworzono by mu przewodu doktorskiego i habilitacyjnego i nie mianowano profesorem! W państwie prawa i w życiu podporządkowanym coraz bardziej drobiazgowym procedurom po prostu takie wyjątki zająć **nie mają prawa**.

Jest w omawianej książce dalszy ciąg życiorysu z kolejnymi nieprawdopodobnymi rzeczami – z oddanym nauce właścicielem „Kawiarni Szkołkiej” (w której wolno było palić, bez czego Banach, zdaje się, myśleć nie potrafił), z przeżyciami wojennymi (nie utracił żony mającej żydowskie pochodzenie, sam nie zginął w masakrze lwowskich profesorów) i tak aż do choroby i śmierci.

Są też w książce unikalne relacje rodziny jego ojca i potomków innych bliskich osób, relacje matematyków, którzy go znali lub kontynuują jego pracę badawczą, są unikalne kopie dokumentów i zdjęcia.

Omawiana książka to świetna, dająca do myślenia lektura. Oczywiście jest to lektura obowiązkowa dla wszystkich przyszłych biografów geniusza, którzy może przestaną wreszcie bajdurzyć na jego temat. Warto, żeby przeczytali ją matematycy i studenci matematyki, którzy powinni interesować się jej dziejami. Ważna jest ona dla nauczycieli, którzy powinni się zastanawiać nad tym, jak nie zmarnować zdolności swoich wychowanków. Ważna jest ona jednak przede wszystkim dla tych, którzy zmagają się z przeciwnościami losu. Może doda im to wiary w to, że można coś osiągnąć pomimo tych przeciwności, zamiast z nich czynić samousprawiedliwienie. Dlatego dobrze byłoby, gdyby nauczyciele zechcieli podsunąć ją i swoim uczniom. □

Jan Waszkiewicz,
profesor Politechniki Wrocławskiej